

Mariusz Kubiela: Spotkania

Spadek artystyczny Brunona Schulza stanowi swoisty paradoks – na skutek jego tragicznej, przedwczesnej śmierci nie należy do zbyt bogatych objętościowo. Jednakże jest tak bogaty treściowo, że do dziś fascynuje kolejne pokolenia odbiorców. Klimaty *Sklepów cynamonowych* stały się także częścią mojego życia. Dzięki temu realizuję obrazy fotograficzne, w których można dostrzec nie tylko paralele Schulzowskiej wizji, ale również fascynacje wkraczające w meandry jego życia. Miałem sporo szczęścia, gdyż od samego początku udało mi się przyciągnąć do tego przedsięwzięcia grupę ludzi spontanicznie i bezinteresownie pomagających mi budować schulzowski świat. Tę aktywność, balansującą na pograniczu performance'u i teatru ulicznego, można śmiało nazwać efemerycznym teatrem jednej fotografii w następujących po sobie ujęciach. Takie sformułowanie wydaje mi się adekwatne, gdyż po wielodniowych, żmudnych pracach przygotowawczych, po nieprzewidywalnych akcjach całego zespołu i po związanej z tym fantastycznej zabawie wszystko zaraz po wywołaniu negatywu znów rozplywa się i rozprasza. Jedynym dowodem, że coś się działo, staje się fotografia i niejednokrotnie pusta butelka po czerwonym wytrawnym winie.

Podczas tworzenia tego projektu przyświeca mi idea: lekkość, zabawa, pozytywne szaleństwo. Bawię się zatem budowaniem inscenizacji, mam przyjemność w doborze aktorów, wymyślam triki techniczne, zastępujące niepotrzebną w tym przypadku ingerencję w obraz programami graficznymi, a także znajduję swoje paralele do zakamarków schulzowskiego Drohobycza światy. Wyobrażenia i marzenia – to główne atrybuty tych nowych, równoległych przestrzeni. Człowiek jest niezwykle ubogi, jeśli choć w części nie składa się z marzeń...

Ale zabawa to nie jedyny atrybut tego przedsięwzięcia. Jest też kilka nieco głębszych działań, które mogę nazwać nie tylko na potrzeby tych rozważań – spotkaniami. Jednym z nich jest zapis miejsc i przedmiotów niepostrzeżenie, tuż za naszymi plecami odchodzących do lamusa. Bywa, że udaje mi się ocalić takie skazane na śmierć egzemplarze. Aby je wszystkie zabezpieczyć, musiałem zbudować pokaźną wiatę, mieszczącą stroje, skrzynie, naczynia, łóżka i szafy. Zbiór rekwizytów stale się powiększa. Ponieważ często zbieram przedmioty wyrzucane przez ludzi ze starych strychów, przyłgnęła do mnie etykieta, że stworzyłem żywiecką wersję *Merzbau* Kurta Schwittersa. Często też dzwonią do mnie koledzy, gdy dotrą do nich wieści o tym, że ktoś opróżnia strych – dzięki temu udaje mi się uchronić od zniszczenia wyjątkowe pamiątki. Ale tej radości niestety coraz częściej towarzyszy refleksja: prawie wszystkie scenerie moich obrazów zniknęły bezpowrotnie. Zostały zapisane jedynie na fotografiach...

Drugim interesującym atrybutem mojego projektu jest poznawanie ludzi i smakowanie wraz z nimi przyjemności tworzenia, a także – w niektórych przypadkach – doświadczanie rozwijania się przyjaźni. Nie zdawałem sobie sprawy, że Bruno Schulz ma aż tylu wielbicieli w różnych krajach i że jego magiczny świat może stać się dla mnie kluczem do otwarcia wielu drzwi.

Trzecią, szczególną formą spotkania i jednocześnie bardzo ważnym czynnikiem tej „zabawy” jest niewątpliwie poznawanie samego siebie. Nie wiedziałem wcześniej o sobie wielu rzeczy – przedsięwzięcie to pozwoliło mi uzmysłwić sobie, ile posiadam energii, jak potrafię zachować się w sytuacjach kryzysowych, jak rozwiązywać problemy techniczne czy też logistyczne. Bardzo ważna była dla mnie decyzja, aby osobiście wcielić się w główną rolę Ojca. Niestety mimo poszukiwań nie mogłem trafić na modela, który byłby dyspozycyjny, miał odpowiedni wygląd i jeszcze na dłuższy czas zechciałby zapaść brodę... Spojrzałem przypadkowo w lustro i już wiedziałem, że mam tego człowieka.

Erotyka to specjalność autora *Xięgi bałwochwalczej*, a on sam po mistrzowsku stopniuje jej napięcie. I występuje obficie nie tylko w zbiorze rycin wykonanych żmudną techniką *cliché-verre*, lecz także w jego słowie pisanym. Wywarło to niebagatelny wpływ na moje spojrzenie fotograficzne. Sekwencja ta – w moim odczuciu – zaczyna się od spierzchniętych, chłopiących kolan Bianki: „Gdy chcę ją sobie wyobrazić, mogę przywołać tylko jeden szczegół nic nieznaczący: jej spierzchniętą skórę na kolanach, jak u chłopca, co jest głęboko wzruszające i prowadzi myśl w dręczące przesmyki sprzeczności, pomiędzy uszczęśliwiającej antynomie. Wszystko inne, powyżej i poniżej, jest transcendentne i niewyobrażalne”. Trudno nazwać to erotyką, choć zabarwienie tego opisu jest dwuznaczne. Nie ma bowiem wykładni, w jakim momencie życia młodego człowieka wykluwa się ugruntowane spojrzenie na własną płciowość. Nieco później Mistrz z Drohobycza napisze o Adeli: „Nachyliłem się przez jej ramię, nie tyle z ciekawości, ile żeby znowu odurzyć się zapachem jej ciała, którego młody urok objawił się był niedawno obudzonym mym zmysłem”.

Niestety miernik społecznego odbioru erotyzmu ma niechlujnie wyskalowany wskaźnik. Ponadto posiada sinusoidalny przebieg na osi czasu i przestrzeni. Powoduje to wiele niespodzianek. Jedną z nich są tytuły artykułów o mojej fotograficznej działalności. Nie mogę zrozumieć, dlaczego niektórzy dziennikarze, po przeprowadzeniu ze mną „normalnego” wywiadu, serwują później „nie-normalny” tytuł dla swojego artykułu. Przykładem może być: *Xięga bromów: Kontrowersyjna wystawa erotycznych obsesji Schulza*. Taki właśnie tekst pojawił się przed kilku laty w „Dzienniku Wschodnim”. Doprawdy, są chyba lepsze sposoby na przyciągnięcie czytelnika niż żerowanie na niskich instynktach. Ciekawe, że nikt nie nazywa kontrowersyjnymi billboardów z rozneglizowanymi panienkami, które reklamują coś, co z nagością nie ma nic wspólnego.

Niewyobrazalna wprost sytuacja wydarzyła się niedawno w Limanowej, gdzie wraz ze swymi pracami uczestniczyłem w perfekcyjnie zorganizowanej imprezie

w ramach Nocy Muzeów. Dzień przed moim wernisażem burmistrz tego miasta zmienił swoją decyzję zezwalającą na powieszenie na rynku sporego baneru informującego o wystawie. Baner musiał zostać zdjęty, gdyż do jego projektu wykorzystano jedną z moich na wpół rozebranych fotografii. I o dziwo, to nie ksiądz wpłynął na tę decyzję (sam niebawem po nabożeństwie przyszedł do muzeum), lecz ojciec miasta, naciskany przez „pewne siły polityczne”. Po tym incydencie ruszyła lawina osób otwierających odpowiednią stronę internetową – w ciągu paru godzin osiągając wynik kilku tysięcy przeglądających. Nawet przez myśl mi nie przeszło, by spodziewać się takiej reklamy. Czując w tym działanie Schulza, mogę tylko powiedzieć: Dzięki ci, Bruno, naprawdę sporo możesz! Przecież i ty zostałeś narażony na podobne ekscesy, kiedy w 1928 roku odbyła się wystawa Twoich prac w truskawieckim Domu Zdrojowym. Wtedy to Maksymilian Thullie, polityk związany z ruchem chrześcijańsko-demokratycznym, chciał wymusić na władzach zamknięcie ekspozycji z tak zwanymi pornograficznymi treściami. Całe szczęście jego żądanie nie zostało spełnione. Aż dziw bierze, że w ciągu stu lat w kwestii tego pruderyjnego zakłamania tak niewiele się zmieniło.

Szczęśliwie istnieje przeciwwaga wobec takich zacofanych postaw. Byłem zbudowany, gdy w 2011 roku przygotowywałem się do autorskiego wystąpienia przed młodzieżą w liceum ogólnokształcącym w Żywcu. Ponieważ w spotkaniu miała wziąć udział również młodsza część społeczności tej szkoły, zapytałem, czy dokonamy selekcji prac, które zostaną wyświetlone oraz poddane pod dyskusję. Biorące w tej roboczej naradzie dwie polonistki i pani dyrektor szkoły ze zdziwieniem popatrzyły na siebie, potem na mnie i jednym głosem przez usta pani dyrektor powiedziały: „Oczywiście, że wszystkie. Niech młodzież uczy się odróżniać sztukę od pornografii”. No i rzeczywiście żywiecka młodzież była znakomicie przygotowana do mojego wystąpienia i bez żadnych podtekstów przyjęła wszystkie fotografie.

Refleksyjnym zakończeniem tego erotycznego wątku niech stanie się przykład mojej rozmowy na wernisażu w Limanowej z sędziwym panem, który powiedział: „Ja z racji wieku nie patrzę już tak łapczywie na tę śliczną nagą dziewczynę na pańskich fotografiach. Jest to kobieta cudowna i mimo pełnej nagości nic mnie tu nie razi. Wszystko jest wyważone. Dlatego też mogłem – z powodu mojego wieku – dostrzec na tej fotografii inne szczegóły. Cudownie rozsypał pan na podłodze szpulki, guziki i inne krawieckie detale, co czyni tę fotografię niezwykle prawdziwą. Bo tak rzeczywiście było. Metalowe pudełeczko – jak u żydowskich krawców. Ja to jeszcze pamiętam. Dziękuję panu za to” – zakończył wzruszony. To dziwne, ale była to pierwsza tak trafna uwaga o *Przymiarce* od chwili, gdy powstała dziesięć lat temu. Dotychczas nikt tego tak nie skomentował. Widocznie nagość bywa dla niektórych ważniejsza niż rozsypane guziki. Warto było czekać tak długo. I ja ślicznie dziękuję temu panu.

Niezwykle cenię spotkania w małych społecznościach zainteresowanych fotografią, czy też ogólnie mówiąc – sztuką. Znajduję tam szczególny klimat, szcze-

re zainteresowanie. Przywołam w tym miejscu kilka refleksji i ciekawostek związanych z ludźmi oglądającymi moje fotografie.

Na wystawie w Willi Radogoszcz w Grodzisku Mazowieckim doszło do komicznego i kuriozalnego incydentu, graniczącego wprost z karykaturą. Dziennikarka uzbrojona w ogromny włochaty mikrofon (chyba tylko to było godne zapamiętania) przeprowadzała ze mną wywiad. Po kilku infantylnych pytaniach zorientowałem się że nie przygotowała się do tej rozmowy, lecz w swych najśmielszych domysłach nie spodziewałem się, że po prostu nie ma pojęcia o Brunonie Schulzu. Kończąc „zestaw pytań”, pochyliła się i przebiegając wzrokiem po tabliczkach dołączonych do moich fotografii, zawierających cytaty Mistrza inspirowane mnie do danej sceny, radośnie zakomunikowała: „Pięknie pan napisał te swoje komentarze do fotografii... Takie głębokie myśli...”. Tylko litość odwołała mnie od przekornej i złośliwej odpowiedzi: Wie pani, tak jakoś wczoraj spać nie mogłem i coś takiego mi do głowy przyszło...

Jakiś czas temu zarysował się szkic nowego pomysłu: Jerzy Tadeusz Ficowski, niezłomny poszukiwacz śladów Schulza – rękopisów, rysunków, listów czy najdrobniejszych nawet faktów z jego życiorysu – wypowiedział w wywiadzie piękne zdanie: „Witold Wojtkiewicz, Bolesław Leśmian, Bruno Schulz to Trzej Królowie, którzy dali nam mirrę, kadzidło i złoto. Trzej wielcy mitotwórcy. Próbuje zwrócić częśćkę długu, jaki u nich zaciągnąłem, bo dzięki nim przeżyłem największe olśnienia w obcowaniu ze sztuką – chociaż to strasznie brzmi szczeniacko”. Piszę o tym, gdyż dzięki Schulzowi na jednym z moich wernisaży poznałem Wiesławę Hołyńską, artystkę realizującą cykl fotograficzny inspirowany twórczością Witolda Wojtkiewicza. To dziwne, ale kiedy zobaczyłem jej fotografie, poczułem jakiś magnetyzm. Nie znałem jeszcze wtedy przytaczanych powyżej słów Ficowskiego. To ona zwróciła mi na nie uwagę i zaproponowała, aby w hołdzie Jerzemu Ficowskiemu połączyć naszą energię i zrealizować wystawę „trzech króli” polskiej kultury XX wieku. Nie będzie to praca wspólna. Jest już jej Wojtkiewicz i mój Schulz. Prace równoległe. Teraz kolej na Leśmiana. Propozycja jest taka, aby każde z nas przystąpiło osobno do budowania obrazu inspirowanego tym samym wierszem poety. Takie zestawienie może być ciekawe – niezależne żeńskie i męskie spojrzenie na to samo źródło. Takie trochę przekorne yin i yang...

Za niezwykle ciekawy uważam fakt, że artyści zafascynowani wspólnym źródłem mogą się nawzajem inspirować. Przykładem tego jest działalność Jerzego Gaszczaka, ukraińskiego filmowca – pasjonata. Jurek, mimo że mieszka w Drohobyczu, zainteresował się Schulzem dopiero po mojej wystawie w tym mieście. Spojrzał na zagadnienie okiem filmowca i zauważył, że moim fotografiom brakuje tylko muzyki. Bardziej zadziałały one na jego wyobraźnię niż lektura książki, i już wtedy wiedział, że będzie robić o tych fotografiach filmy. We wrześniu 2012 roku miałem niezwykłą przyjemność wziąć udział w festiwalu poświęconym Schulzowi w jego rodzinnym mieście. Moje fotografie po poważnych per-

turbacjach (uszkodzenie w transporcie, zmiana miejsca ekspozycji) w końcu zawisły chyba w najbardziej wymarzonym miejscu – w drohobyckiej Wielkiej Synagodze, o co zapewne postarał się sam Bruno. Co prawda budynek jest w trakcie permanentnego remontu, ale za to sceneria dla takich klimatów wymarzona. Fotografie zostały na wystawie, podczas gdy ja wróciłem do kraju. Po kilku dniach zadzwonił jeszcze niezbyt dobrze mi wówczas znany Jurek i zapytał, czy może nakręcić film o mojej fotografii *Kobieta karcąca fortepian w obecności trzech świadków*. Pomyślałem: „Jak można nakręcić film o nieruchomej fotografii?”. A jednak można! Jurek wydobył z niej zupełnie nowe pokłady emocji poprzez swoją wrażliwość. Perfekcyjnie dobrana muzyka potęguje odbiór, a subtelne pokazanie wnętrza synagogi wraz z jej zniszczeniami dzięki odpowiedniemu światłu spina całość kłamrą dramatyzmu. Dziś z Jurkiem się przyjaźnimy i jego etiudę wyświetlam na wszystkich moich wystawach.

Drogę do wielu ciekawych spotkań otworzyła przede mną wystawa w ramach Europejskiego Miesiąca Fotografii w Berlinie. Zdarzył się tam również zaskakujący epizod. W pewnym momencie podeszła do mnie pani mówiąca dobrze po polsku i zakomunikowała, że będąca wśród gości artystka wokalna tak zaintrygowała się moimi dziełami, że pragnie zadedykować mi arię. I stało się! O pierwszej w nocy w kameralnym gronie uczestników wernisażu na środku berlińskiej ulicy zostałem beneficjentem jej niezwykłego daru. Tę atmosferę i brzmienie jej głosu będę pamiętał chyba do końca życia, tym bardziej że wnet pocztą pantoflową dotarła do mnie informacja, że owa postawna śpiewaczka posługująca się nieskazitelnym sopranem nie jest panią, lecz panem... Oczywiście nie przeszkodziło to nikomu, aby świętować otwarcie mojej wystawy do wczesnego rana, co w harmonogramach tego typu imprez w stolicy Niemiec jest podobno ewenementem.

Zwróćmy uwagę, że niejednokrotnie Mistrz z Drohobycza opisuje ciało jako afirmację materii. Równocześnie czyni karlejącego Ojca dowodem na to, że realna strona życia daleka jest od ideału. Dlatego w groteskowy sposób osadza w nim uosobienie duchowości domu i wplątuje go w bitwę z cielesnością reprezentowaną przez Adelę. Przedstawienie wojny dwóch potęg na gruncie rodziny Brunona zapowiada zbliżający się tryumf materii nad duchowością. Dla mnie było to przyczynkiem do niezwyklej współpracy z modelką odgrywającą rolę „smukłonożej” służącej. W osobowość Adeli fantastycznie wcieliła się moja koleżanka ze studiów fotograficznych, Magda Lipińska-Mytych. Miałem niezwykle szczęście, że uzyskałem jej pomoc w tym rozbudowanym projekcie. Uważam, że znalezienie modelki o takiej aparycji, która jednocześnie będzie wiedziała, co znaczy na przykład czas naświetlania $\frac{3}{4}$ sekundy i co należy w tym czasie zrobić, graniczyło z cudem. Swoją profesjonalizm wykazała na fotografii *Wojna potęg*, gdzie jej tułów i nogi są idealnie ostre, natomiast ręce wraz z miotłą w zamaszystym ruchu rozmyte, co zgodne jest z moją ideą i konsekwencją właśnie takiego ustawienia ekspozycji. Obrazuje to dynamikę tej sceny, w czym Magda

zachowała się po mistrzowsku. Postawa i mimika twarzy Adeli, a także złowrogi rekwizyt – miotła – nie są już zabawą, jak wysunięty do łaskotania palec. Tu kończy się niepohamowany chichot pańienek, wsłuchanych w filozoficzne tyra-
dy ojca, nie ma już oczyszczającego „śmiechu Buddy”. To istny pogrom.

Na zawsze zapamiętam krótką rozmowę z Andrzejem, młodym fachowcem pracującym nieopodal mojego domu, który zupełnie przypadkowo zobaczył *Powidoki ptaka* w ogromnym, wystawienniczym formacie u mnie w domu na ścianie. Powiedział wtedy niezwykle szczerze, nie znając zupełnie źródła moich inspiracji: „Nie znam się na sztuce, ale to niesamowity obraz. Czuję, że mnie porusza. Ta fotografia nie odpuszcza od siebie wzroku, ona cały czas trzyma i cały czas znajduję nowe szczegóły. Nie rozumiem tego, ale czuję, przeżywam. Robiłeś to chyba na haju?”. Zripostowałem go lakonicznie: „Nie na haju, na czymś znacznie lepszym – na Schulzu”.

Kończąc opowieść o moich szczególnych spotkaniach, przytoczę niemalże mistyczne zdarzenie. Od dawna szukałem zniszczonego domu jako motywu do mojej fotografii. Udało się to przypadkowo w Zawoi. Niestety miałem przy sobie jedynie aparat małoobrazkowy i nie było ze mną ani rekwizytów, ani nikogo do pomocy, nie mówiąc już o żywych ptakach... Głównym motywem obrazu miały być gołębie wylatujące w różnych kierunkach z dziurawego dachu pochylonej chałupy – symbol obrazujący zniszczenie i rozdrobnienie twórczości Schulza, które nastąpiły po jego śmierci. Wykonałem cykl fotografii dokumentujących budynek, aby w domu przemyśleć plan działania. Gdy po kilkunastu dniach pojawiłem się tam ze sprzętem, ptakami i ekipą, z chałupy pozostał jedynie pusty plac, zniknęła jak kamfora. Widząc w tym analogię do zaginięcia *Mesjasza*, postanowiłem mimo wszystko zadedykować to ujęcie tajemniczemu dziełu Schulza. Wykorzystując klatkę małoobrazkową, zdecydowałem się na jedyny w moim dorobku fotomontaż – i tak powstał *Biały Mesjański Kruk*.

Mam nadzieję, że nie było to ostatnie spotkanie budzące we mnie tak ekspresyjne emocje, ukartowane przez patrona mojego projektu. Wyrażając mu wdzięczność za tę szczególną opiekę i – mam nadzieję – za przychylne, pełne aprobaty spojrzenie, powiem nieco przekornie: Mistrzu, Ciebie nie trzeba rozumieć, wystarczy Cię czuć.



Kobieta karcąca fortepian w obecności
trzech świadków





Plemię marnotrawnych deformantów





Amplituda pragnień



Bestie



Magia markownika



Wielka szyba, czyli matki wówczas
jeszcze nie było, jednak



Biały Mesjański Kruk